

WOJNA i PAMIĘĆ

1945 2020

**TYCODNIK
POWSZECHNY**

**DODATEK
SPECJALNY**

TP 19/2020

W Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku

MACIEJ KOSYCARZ / KFP



TADEUSZ ZAGOŹDZIŃSKI / PAP

Władze PRL prezentowały udział w pokonaniu Niemiec jako główny argument na rzecz sprawowania przez komunistów władzy nad Polską. Na zdjęciu: działacze Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej podczas rocznicowej parady na placu Defilad, Warszawa, 9 maja 1985 r.

Polskie spojrzenia na koniec wojny

ŁUKASZ KAMIŃSKI

Dyskusja o tym, czego doświadczyliśmy w latach 1944-45, rozwinęła się zaskakująco późno. Tymczasem to, czy zostaliśmy wtedy wyzwoleni, czy znaleźliśmy się pod nową okupacją, ma znaczenie zasadnicze – także dla oceny całego okresu PRL.

Nie jest łatwo odpowiedzieć na pytanie, jak Polacy przyjęli koniec II wojny światowej w Europie – 8 maja 1945 r. nikt nie prowadził sondaży. Oczywiście historycy potrafią sobie radzić w takiej sytuacji: analizują dzienniki, teksty prasowe i inne dokumenty. Jak jednak mamy ustalić, co w swojej celi na Łubiance myślał gen. Leopold Okulicki, ostatni dowódca AK? Zapewne dochodziły do niego

odgłosy salw artyleryjskich, salut zwycięzców. Być może jednak, tak jak więziony w tym samym miejscu Kazimierz Pużak, socjalista i przewodniczący podziemnego parlamentu, o zakończeniu wojny dowiedział się dopiero pod koniec maja.

Sondaż, którego nie było

Gdyby jednak można było jakimś sposobem prowadzić takie badania sondażowe, od razu pojawiłoby się pytanie, na

jakim terenie należałoby je zorganizować. W maju 1945 r. powojenna Polska nie miała wytyczonych granic. W Jałcie Stalin, Churchill i Roosevelt zdecydowali o utracie Kresów Wschodnich, zachodnia granica miała być ustalona później. W zamian za Kresy Polska miała otrzymać „istotny przyrost terytorialny” kosztem Niemiec, ale realizację tej obietnicy odłączano do konferencji pokojowej. Ostatecznie rozstrzygnięto to na przełomie

lipca i sierpnia 1945 r. w Poczdamie. Przebieg granicy z Czechosłowacją był przedmiotem sporu, który w czerwcu o mało nie doprowadził do starć zbrojnych.

Jeszcze trudniejsze byłoby dobranie reprezentatywnej próby ankietowanych. W maju 1945 r. Polacy byli rozproszeni, a położenie danej grupy rzutowało na odczucia towarzyszące końcu wojny. Inaczej reagowali robotnicy przymusowi na terenie Niemiec, inaczej dawni zesłańcy i dopiero co deportowani do sowieckich łagrów. Inne było położenie żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie i emigracji politycznej, a inne mieszkańców Kresów, którzy musieli podejmować dramatyczne decyzje o opuszczeniu swoich małych ojczyzn.

Nawet mieszkańcy terytorium kontrolowanego przez komunistyczne władze nie mieli jednolitych doświadczeń: jedni od 10 miesięcy znali smak życia bez Niemców, a za to w towarzystwie UB i NKWD, inni właśnie go poznawali. Co innego 8 maja oznaczał dla ocalałych z Holocaustu, a co innego dla partyzantów z coraz liczniej tworzących się na nowo – wbrew rozkazom dowództwa – oddziałów leśnych.

Stalinowi „Szczęść Boże”

Najłatwiej jest odtworzyć poglądy osób związanych z poszczególnymi obozami politycznymi. Pisarka Zofia Nałkowska – świeżo mianowana posłanką do kontrolowanej przez komunistów Krajowej Rady Narodowej – opisując końcowe dni wojny i „łagodną” jej zdaniem rewolucję prowadzoną przez komunistów, notowała: „Świat dzieje się z szaloną szybkością, (...) Berlin jest wzięty, los Hitlera i Mussoliniego nieznan. Żyję, niesiona olbrzymim prądem tej przemiany, która na szczęście mi dogadza, która jest moją sprawą”. Kolejne majowe strony jej dziennika wręcz wibrują energią i ekscytacją, mimo iż Nałkowska rozpoczęła równocześnie pracę w niedawno powołanej Głównej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich w Polsce.

Orędzie Bolesława Bieruta – z woli Stalina mianowanego prezydentem – złożone było z ogólników podkreślających triumf nad odwiecznym wrogiem, zapowiadających budowę „wielkiej i na zawsze zjednoczonej Polski”. Nie brakło słów wdzięczności dla Związku Sowieckiego. Jednocześnie Bierut deklarował

wsparcie dla budowy systemu zbiorowego bezpieczeństwa i utrzymanie przymerza z zachodnimi aliantami. Retoryka tego wystąpienia była elementem prób zbudowania szerokiego wsparcia dla zależnych od Moskwy władz, prób skazanych na niepowodzenie.

Kuriozalnie z dzisiejszej perspektywy wygląda jedna z podjętych na wieść o końcu wojny akcji propagandowych. Jak donosiła prasa, z Katowic do Moskwy wysłano pociąg z węglem udekorowany hasłem „Marszałkowi Stalinowi – Polscy Górnicy – »Szczęść Boże«”.

Wojna skończona, walka trwa

Oslabione marcowym aresztowaniem szesnastu swych przywódców, władze Polski Podziemnej zabrały głos 17 maja. W deklaracji Rady Jedności Narodowej (podziemnego parlamentu) i p.o. Pełnomocnika Rządu na Kraj Stefana Korbońskiego czytamy: „Wojna skończyła się, lecz walka trwa. Walka o realizację ideałów sformułowanych w Karcie Atlantycznej, o prawdziwą wolność, demokrację i sprawiedliwy pokój”. Jako „główne zagadnienie” tej walki stawiano sprawę polską, od której rozstrzygnięcia miały zależeć szanse na pokój i uniknięcie kolejnej wojny. Przypominano o komunistycznych represjach. Jednocześnie liderzy podziemia ponawiali deklarację uznania uchwał jałtańskich, a także gotowość do nawiązania przyjaznych relacji z Sowietami i chęć udziału w rozmowach o utworzeniu Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej.

Stanowisko wielu lokalnych dowódców i członków konspiracji było bardziej radykalne. Major Jan Tabortowski „Bruzda”, który nocą z 8 na 9 maja zajął Grajewo, tłumaczył swoim żołnierzom, że wojna się nie skończyła, Polsce grozi los kolejnej republiki sowieckiej, a partyzanci muszą dać światu świadectwo sprzeciwu. W wyniku udanej akcji uwolniono tam kilkudziesięciu więźniów.

Nie wszyscy mieli takie szczęście. Aresztowany w Grodnie żołnierz AK Janusz Siemiński już w wagonie pociągu kierującego się na wschód usłyszał strzały. Wraz z kolegami uznał, że to próba odbicia: „Olbrzymia radość, że odzyskamy upragnioną wolność”. Po chwili zorientowali się, że to strzały na wiat, oznaczające koniec wojny: „Wszystkich ogarnęło przygnębienie”.

Radości zabrakło też w „polskim Londynie” – tę z pokonania Niemców przyćmiewały obawy o przyszłość. Tygodnik „Polska Walcząca” zamieścił pisany na gorąco komentarz: „Dla mieszkańców tego kraju jest to dzień radości i triumfu. My żołnierze Polskich Sił Zbrojnych łączymy się z narodem brytyjskim w uczuciach przeżywanych w dniu zwycięstwa (...) Ale dla nas ten dzień nie oznacza tego samego. (...) Po przeszło pięciu latach wspólnych trudów, po ofierze krwi, (...) nie doczekaliśmy się wolności dla swoich, ani łaski powrotu dla siebie”.

W licznych świadectwach czytamy o reakcjach zwykłych ludzi w Polsce na wieść o kapitulacji Niemiec. Choć wielu kronikarzy odnotowało wzrost spożycia bimbru czy inne przejawy radości, uwagę przykuwają w tych opisach sformułowania typu „nastroj raczej pesymistyczny”, „Wstępujemy w nowy okres. (...) A może będzie to okres jeszcze cięższy niż poprzedni?!” „całe społeczeństwo (...) czeka na wyzwolenie”. Korboński raportował: „Zakończenie wojny Warszawa przyjęła obojętnie. U nas to niczego nie zmienia”.

Stan zawieszenia

Takie postawy wynikały z powszechnej niepewności, swobodnego stanu zawieszenia, w jakim znalazła się Polska. Jego symbolem, obok wspomnianego braku ustalonych granic, było istnienie dwóch rządów. Jednego uznanego przez większość świata, lecz znajdującego się na uchodźstwie, i drugiego, uznanego głównie przez swego mocodawcę, Związek Sowiecki, ale za to sprawującego realną kontrolę nad terytorium i ludnością. Niepewność pogłębiały liczne plotki, na czele z zapowiedzią wybuchu nowej wojny, tym razem między Moskwą a jej zachodnimi sojusznikami. Na zmęczenie społeczeństwa wpływały też informacje o nowych represjach i ciężka sytuacja gospodarcza.

Nie oznacza to, że w 1945 r. Polacy nie zaznali wybuchu entuzjazmu. Stało się to jednak nie w maju, lecz w początkach lipca – wraz z przyjazdem do kraju Stanisława Mikołajczyka, byłego premiera rządu RP. Na pierwszy rzut oka niewiele się zmieniło na lepsze: legalne władze RP straciły uznanie aliantów, przywódcy Polski Podziemnej zostali właśnie skazani, trwały masowe represje (kończyły się →

→ przygotowania do oblavy augustowskiej – największej sowieckiej zbrodni na Polakach po II wojnie).

Pojawił się natomiast czynnik, którego zabrakło 8 maja – nadzieja. Polacy uwierzyli, że ich los może się odmienić na lepsze, że obiecane w Jaćcie wolne wybory są szansą na odzyskanie niepodległości. Wkrótce mieli się przekonać, że to nadzieje płonne.

Filar legitymizacji

W chwili zakończenia wojny polski głos w świecie wybrzmiał słabo. Symbolem stała się konferencja założycielska ONZ w San Francisco, na której zabrakło Polaków. Do legendy przeszedł gest Artura Rubinsteina, który 13 maja – w trakcie swego koncertu, towarzyszącego konferencji – poruszony brakiem polskiej flagi, kazał delegatom wstać i odegrać „Mazurka Dąbrowskiego”. Nawet protesty władz RP na uchodźstwie dużo głośniejsze były wcześniej – po Jaćcie i później, po cofnięciu im uznania przez zachodnich sprzymierzeńców.

W kolejnych latach sytuacja nie uległa zmianie. Wiele uwagi poświęcano na emigracji krytyce systemu jałtańskiego, rzadko jednak odnosząc się do kwestii zakończenia wojny. Fakt ten kwitowano zwykle ogólnikami, iż zwycięstwo nad Niemcami nie przyniosło Polsce wolności, lecz nową niewolę. Sytuację Polski określano też jako okupację przez Związek Sowiecki lub komunistów, pojawiał się również termin „ujarzmienie”. Kolejnych rocznic końca wojny nie świętowano, w emigracyjnym kalendarzu główną majową datą było zdobycie Monte Cassino. To raczej ta rocznica była pretekstem do rozważań o rozpoczętym w 1945 r. „nowym akcie tragedii naszego Narodu”, jak w maju 1952 r. ujął to gen. Władysław Anders.

Tymczasem w kraju Dzień Zwycięstwa, jak go popularnie zwano, stał się jednym z filarów legitymizacji reżimu komunistycznego. Dekret o ustanowieniu Narodowego Święta Zwycięstwa i Wolności przyjęto już 8 maja 1945 r., wyznaczając je na 9 maja. Wybór tej daty nie miał nic wspólnego z – późniejszym o wiele lat – sporem o „właściwą” datę kapitulacji Niemiec, wynikającym z różnicy stref czasowych (8 czy 9 maja). Wskazano po prostu na pierwszy dzień po zakończeniu wojny (na marginesie zauważmy, że w 1945 r. wątpliwości co do daty nie

■ Debata ostatnich lat sprowadzają się do dwóch zasadniczych kwestii. Czy zajęcie ziem polskich przez Armię Czerwoną było wyzwoleniem? Oraz czy można mówić o polskim zwycięstwie w II wojnie światowej?

miał nawet Stalin: w okolicznościowym orędziu wprost mówił, że 7 maja podpisano „wstępny protokół kapitulacyjny”, a dzień później – ostateczny).

Niezależnie od tego, że 9 maja tylko do 1950 r. był dniem wolnym od pracy, jego obchodom do końca istnienia PRL nadawano wyjątkowy charakter. Udział w pokonaniu Niemiec (symbolizowany przez polską flagę nad Berlinem) prezentowano jako główny argument na rzecz sprawowania przez PZPR władzy nad Polską – na równi, a z czasem nawet ponad argumentacją wynikającą z ideologii marksistowsko-leninowskiej. W narrację tę wpisywano opowieść o „braterstwie broni” z Armią Czerwoną, a także o największym owocu zwycięstwa: przyłączeniu ziem polniemieckich, zwanych odzyskanymi.

Po stronie opozycji

W czasach PRL historia II wojny światowej często była przedmiotem sporu między rządzącymi a społeczeństwem i opozycją, czynnikiem mobilizującym do sprzeciwu. Podczas kryzysów przypomniano sowiecką agresję 17 września 1939 r., Katyń i deportacje, brak pomocy dla powstania warszawskiego, prześladowania AK-owców. Pojawiały się też wątki związane z rokiem 1945: Jałta, proces szesnastu, a pod koniec istnienia PRL także oblawa augustowska (po przypadkowym odkryciu masowego grobu koło Gib).

Jednak przedmiotem sporu z władzą nie stała się nigdy kwestia końca wojny. Sytuacja ta nie zmieniła się nawet po powstaniu Solidarności. W maju 1985 r. prasa podziemna zignorowała 40. rocznicę kapitulacji Niemiec – pisano za to o półwieczu od śmierci Piłsudskiego czy 30-leciu Układu Warszawskiego.

Jest kilka możliwych wytłumaczeń tej sytuacji. Pierwsze to skuteczność komuni-

stycznej propagandy, bazującej na dumie ze zwycięstwa nad Niemcami, budzącej patriotyczne uczucia i jednocześnie wiążącej terytorialną rekompensatę z takimi, a nie innymi okolicznościami zakończenia wojny. Ten ostatni wątek podsuwa kolejną możliwość: Polacy, niezależnie od stosunku do komunizmu, uświadamiali sobie wagę owego przesunięcia granic na zachodzie i północy wobec utraty Kresów. Bez tej zmiany Polsce groził podobny los jak Węgrom po traktacie z Trianon (1920 r.). Czyli, w polskim przypadku, redukcja terytorium o blisko połowę.

Trzecie wytłumaczenie związane jest z charakterem Solidarności, rozumianej – śladem Jacka Kuronia – jako „samoorganizująca się rewolucja”. Otwarte kwestionowanie interpretacji końca wojny jako wyzwolenia uznawano za zbyt ryzykowne, a przy tym wpisujące się w komunistyczną propagandę (wykorzystującą m.in. rzekome dewastacje cmentarzy żołnierzy sowieckich). Wreszcie, możliwe czwarte wyjaśnienie to po prostu brak społecznych emocji związanych z datą końca wojny – inaczej niż w przypadku np. Katynia.

W wolnej Polsce

Niezależnie od jego źródeł ten sposób myślenia przetrwał upadek PRL. Najlepszym dowodem tego jest fakt, że Narodowe Święto Zwycięstwa i Wolności 9 maja – ustanowione przez władze PRL – obowiązywało aż do 2015 r. I nie chodzi tu jedynie o wspomniany wcześniej spór między 8 a 9 maja, lecz o sformułowanie „i Wolności” – wszak mało kto gotów jest bronić tezy, że po 1945 r. zapanowała w Polsce wolność. Dopiero gdy w maju 2014 r. na ten problem zwrócił uwagę ówczesny dyrektor Biura Edukacji Publicznej IPN Andrzej Zawistowski, pojawiła się inicjatywa zmiany stanu prawnego. Ostatecznie zmieniono nazwę święta na Narodowy Dzień Zwycięstwa, a jego termin przesunięto na 8 maja.

Nie oznacza to, że po upadku systemu komunistycznego nie podjęto żadnych działań. Już na początku lat 90. usunięto sporą część „pomników wdzięczności”, a także prawie wszystkie nazwy ulic odnoszące się do Armii Czerwonej.

Problem interpretacji wydarzeń z ostatnich miesięcy wojny i jej zakończenia pojawiał się też przy okazji debat o PRL, prowadzonych z różnym natężeniem przez pierwszą dekadę wolnej Polski. Był to jed-

nak poboczny wątek tej dyskusji. Radykalne głosy – jak opinia Tomasza Strzembosza, że od 1944 r. mieliśmy w Polsce do czynienia ze specyficzną formą okupacji – były odosobnione. Większość badaczy przychyliła się do wygodnej formuły Krystyny Kersten, która zbiór swoich esejów poświęconych okresowi 1944-56 zatytułowała „Między wyzwoleniem a zniewoleniem”. Warto podkreślić, że w tym czasie wciąż dużą rolę w dyskusji odgrywali historycy, którzy przed rokiem 1989 związani byli z PZPR.

Dwa pytania, na nowo

Sytuacja zaczęła się zmieniać po roku 2000. Wpłynęło na to zarówno powstanie Instytutu Pamięci Narodowej, jak też zaostrzenie polityki Rosji po objęciu władzy przez Władimira Putina. W swoich badaniach IPN w pierwszych latach skupił się na początkach komunistycznej Polski: represjach, funkcjonowaniu UB i sądownictwa, zaangażowaniu Sowieców w budowę nowego reżimu, wreszcie na różnych formach oporu, zwłaszcza podziemiu niepodległościowym. Badania te, prowadzone zwykle przez młode pokolenie historyków, w naturalny sposób prowadziły do stawiania na nowo pytań o lata 1944-45.

Przedmiotem nasilającej się wraz z upływem lat debaty stały się dwie główne, związane z zakończeniem wojny kwestie. Pierwsza dotyczy opisu wydarzeń z lat 1944-45 na ziemiach polskich: czy ich zajęcie przez Armię Czerwoną oznaczało wyzwolenie czy też początek nowej okupacji. Druga odnosi się wprost do 8 maja 1945 r. i łączy się z pytaniem, czy można mówić o polskim zwycięstwie w II wojnie światowej czy raczej o klęsce.

W pierwszej z tych dyskusji jako argument przeciw koncepcji „wyzwolenia” wykorzystywana jest słownikowa definicja (wyzwolić: „przywrócić wolność, niezależność”), inkorporacja prawie połowy terytorium II RP do Związku Sowieckiego, masowość represji (w tym wobec przedstawicieli Polskiego Państwa Podziemnego), zachowanie żołnierzy sowieckich (gwałty, rabunki). Nawet niektórzy przeciwnicy używania słowa „okupacja” na określenie tego okresu – jak Paweł Machcewicz – przyznają, że „przez pierwsze kilkanaście miesięcy od wejścia Armii Czerwonej w przedwojenne polskie granice mieliśmy do czynienia z elementami okupacji”. Natomiast głównym

8 maja 1945 r. co innego oznaczał dla ocalałych z Holocaustu i robotników przymusowych na terenie Niemiec, a co innego dla więzionych w Moskwie przywódców Państwa Podziemnego albo dla mieszkańców Kresów.

argumentem przeciw koncepcji „okupacji” jest nieporównywalność realiów okupacji niemieckiej z powojenną.

Wygrana? Nie w pełni?

Zwolennicy koncepcji „wyzwolenia” używają zwykle argumentu (nieco demagogicznego), że gdyby nie Armia Czerwona, Polacy przestaliby istnieć. Nie widzą tym samym (nie chcą widzieć?) możliwości innego scenariusza poza dwoma: kontynuacja ludobójczej polityki Niemców lub narzucenie reżimu komunistycznego. Z kolei główny problem koncepcji „okupacyjnej” związany jest z brakiem jednoznacznej odpowiedzi na pytanie, kiedy miałyby się zakończyć: wraz z utworzeniem Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej i jego uznaniem przez mocarstwa czy w roku 1956, 1989, a może dopiero wraz z wyjściem ostatnich żołnierzy rosyjskich w 1993 r.?

W równoległej dyskusji nad tym, czy wojna przyniosła nam zwycięstwo, pojawiają się analogiczne argumenty. Zwolennicy koncepcji „zwycięstwa” wskazują, że głównym celem Polaków było przetrwanie, a nie zachowanie niepodległości; mówią też o roli wojsk polskich w walce, uzyskaniu ziem zachodnich, a także argumentują, że w ówczesnej sytuacji geopolitycznej nie było lepszych rozwiązań.

Ich przeciwnicy odwołują się do utraty Kresów i niepodległości, zniewolenia narodu na blisko pół wieku, utraty ciągłości państwowej, a także kosztów ludzkich, gospodarczych i społecznych okresu komunizmu. Większości Polaków na razie nie udało się przekonać: w 2014 r. po 31 proc. ankietowanych zgadzało się z opiniami, że Polska wojnę wygrała, lub że „wygrała, ale nie w pełni”.

Putin odrzuca kompromis

Na te polskie dyskusje nakłada się zmiana polityki Rosji. W związku z postawieniem *Pobiedy* w centrum rosyjskiej pamięci i tożsamości władze na Kremlu coraz agresywniej reagują na wszelkie przejawy podważania mitu „wyzwolenia”. Już w 2009 r. Putin odrzucił kompromisową formułę zaproponowaną przez ówczesnego premiera Donalda Tuska, który – odwołując się do zapisków Sándora Máraiego – uznał, że sowieccy żołnierze nie mogli nikomu przynieść wolności, gdyż sami jej nie mieli.

Rosja ostro reagowała też na usuwanie w ostatnich latach „pomników wdzięczności”. Atakowano nie tylko Polskę, lecz także państwa bałtyckie, a od 2019 r. również Czechy. Także od ubiegłego roku – wzorem lat wojny – rocznice „wyzwolenia” środkowoeuropejskich stolic świętowano w Moskwie fajerwerkami i salwami artyleryjskimi. Kilka tygodni temu przyjęto zaś nowe prawo, w myśl którego przestępstwem jest niszczenie upamiętnień Armii Czerwonej także poza granicami Rosji.

Kulminacją tych działań miała być gigantyczna parada w 75. rocznicę zakończenia wojny, nieszczęśliwie dla Kremla odwołana z powodu pandemii. Moskwa liczyła, że poprzez udział w tych obchodach światowych przywódców przełamie izolację, w jakiej znalazła się po okupacji Krymu i wywołaniu wojny z Ukrainą.

Zgoda zakwestionowana

W ostatnim czasie debata polskich historyków i publicystów zyskała nową odsłonę, stając się kolejnym elementem wszechogarniającego nasz kraj sporu politycznego. Wcześniejszą postawę polskich elit wobec działań Moskwy, nader zgodną, przełamał lider SLD Włodzimierz Czarzasty. Zapewne w nadziei na mobilizację coraz bardziej kurczącego się „betonowego” elektoratu stwierdził on, że Armia Czerwona wyzwoliła Polskę. Później jednak, krytykowany także przez lewicowych publicystów, swoją wypowiedź kilkakrotnie niuansował.

Co pokazuje, jak bardzo zmieniło się polskie spojrzenie na koniec wojny w ostatnich latach. © ŁUKASZ KAMIŃSKI

AUTOR jest historykiem, specjalizuje się w dziejach Polski i Europy Środkowej w drugiej połowie XX wieku. W latach 2011-16 był prezesem IPN.

Wyzwalająca klęska

FILIP GAŃCZAK

Przegrana wojna i późniejsza reedukacja skutecznie wyleczyły Niemców z militarizmu. Jednak w ich wiedzy o zbrodniach nazizmu wciąż jeszcze są białe plamy.

Tego dnia Tomasz Mann, laureat literackiej Nagrody Nobla, zanotował w dzienniku: „Wieczorem franc[uski] szampan dla uczczenia dnia zwycięstwa w Europie”. W Kalifornii, gdzie przebywał Mann, był to wieczór 8 maja. Do Ameryki dotarła już wiadomość o bezwarunkowej kapitulacji III Rzeszy. Emigrant Mann, przeciwnik hitlerizmu, żałował wprawdzie, że jego rodacy nie wyzwolili się sami, lecz „musieli zostać przywróceniu ludzkości przez siły zewnętrzne”. Nie miał jednak w tych dniach wątpliwości, że wybiła „wielka godzina, powrót Niemiec do człowieczeństwa”.

75 lat później też chciano świętować. Land Berlin ogłosił tegoroczny 8 maja dniem wolnym. Na placu Republiki, w bezpośrednim sąsiedztwie Reichstagu, miał przemawiać prezydent Frank-Walter Steinmeier. Przewidziano udział kanclerz Angeli Merkel i wielu zagranicznych gości – polityków, ale też młodzieży.

Pandemia pokrzyżowała plany. Uroczystości państwowe odwołano. Rocznicową wystawę plenerową, która miała zostać otwarta w pobliżu Bramy Brandenburskiej, przeniesiono do internetu. Nie zmienił się za to dominujący ton okolicznościowych komentarzy w mediach: kraj, z którego wyszła II wojna światowa, swą klęskę militarną celebrowała dziś w duchu Tomasza Manna – jako dzień wyzwolenia od narodowego socjalizmu.

Naród na kolanach

Taka interpretacja 8 maja w Niemczech nie była od początku oczywista.

Późną wiosną 1945 r. wolni mogli się czuć więźniowie obozów koncentracyjnych, robotnicy przymusowi, przeciwnicy polityczni Adolfa Hitlera. Ale w Hamburgu, Kolonii czy Monachium świętowali nieliczni. – Ogromna część Niemców odebrała koniec wojny jako klęskę – mówi „Tygodnikowi” dr Stefan

Wolle, historyk, kierownik naukowy Muzeum NRD w Berlinie. Z listów niemieckich jeńców oraz z prywatnych dzienników zwykłych ludzi również nie wyłania się obraz kraju wyzwolonego. Niemcy Anno Domini 1945 były pokonane, zagruzowane i wykrwawione.

Wśród ok. 60 mln ofiar II wojny światowej było prawie 6,5 mln obywateli Rzeszy – głównie żołnierzy, ale też niemal 1,2 mln cywilów. Ci, którzy przeżyli, byli zdani na łaskę zwycięzców. Obawiano się zwłaszcza Armii Czerwonej, której szlak znały mordy, deportacje, gwałty. Tylko w Berlinie ofiarami przemocy seksualnej miało paść 100 tys. Niemek. W całym kraju – setki tysięcy. Miliony Niemców uciekły na zachód przed armią sowiecką lub zostały przymusowo wysiedlone u schyłku wojny i w pierwszych latach po jej zakończeniu. Tym ludziom trzeba było zapewnić dach nad głową i pracę.

Powszechna była ulga, że skończyły się bombardowania. Nie było jednak pewne, czy Rosjanie i alianci zachodni wkrótce nie skoczą sobie do gardeł.

Na pierwszym planie były tymczasem codzienne troski. Wielu Niemców z trudem wiązało koniec z końcem. Wystarczy spojrzeć na zdjęcia Berlina z lat 1945-46. W parku Tiergarten prawie nie ma drzew. Te, które przetrwały alianckie naloty, zostały zużyte na opał. Ziemię ludzie podzielili i posadzili w niej warzywa. Za pożywienie służyły też padłe konie. Albo resztki mąki z rozładowywanych worków – pospiesznie zgarniane przez dzieci, aby w domu było z czego upiec chleb.

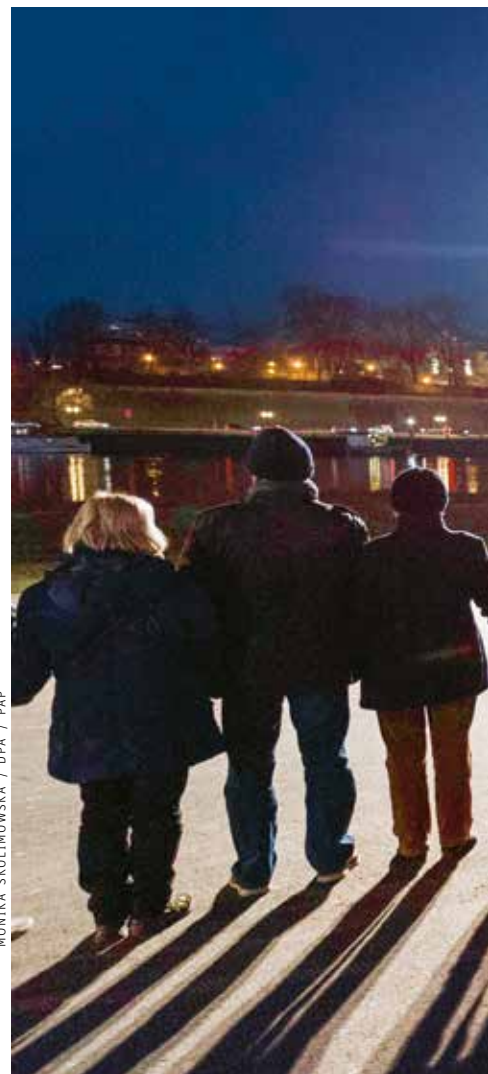
Mechanizm obronny

Nędzę tamtych dni dobrze oddaje też film Roberta Rosselliniego „Niemcy – rok ze-

„Ludzki tańcuch” w Dreźnie w rocznicę alianckiego nalotu, 13 lutego 2018 r.

rowy”, kręcony w Berlinie w 1947 r. To opowieść o 12-latku zmuszonym do handlu na czarnym rynku, aby wyżywić rodzinę, bo przydziały kartkowe są niewystarczające. Zdesperowany chłopak posuwa się do otrucia ciężko chorego ojca, który ma świadomość, że jest obciążeniem dla najbliższych. W końcu nastolatek odbiera życie także sobie.

Jeszcze zimą 1946/47 r. Niemcom dawał się we znaki głód. Kardynał Joseph Frings, arcybiskup Kolonii, w pamiętnym kazaniu sylwestrowym usprawiedliwił nawet drobną kradzież, jeśli kradnący



MONIKA SKOLIMOWSKA / DPA / PAP

lub jego bliscy cierpią głód. Zaopatrzenie w zachodnich strefach okupacyjnych definitywnie poprawiło się dopiero po reformie walutowej z 1948 r. Wschód, pozabawiony amerykańskiej pomocy i rozgrabiony przez Sowietów, jeszcze dłużej dźwigał się z zapaści.

Błyskawicznie znikają za to symbole brunatnego reżimu i jego jawni wyznawcy. Dostrzegli to już alianccy żołnierze, którzy w 1945 r. posuwali się w głąb Rzeszy. „Nie było nazistów, również byłych nazistów, a nawet żadnego sympatyka nazistów” – notował z sarkazmem kronikarz amerykańskiej 78. Dywizji Piechoty. „Wszyscy Niemcy zachowują się tak samo, gdy chce się ich aresztować. Mówią, że nigdy poważnie nie wierzyli w narodowy socjalizm” – pisała 15 kwietnia 1945 r. amerykańska gazeta wojskowa „The Stars and Stripes”. Ci, którzy nie byli w stanie wyprzeć się długoletniego członkostwa w NSDAP, zapewniali, że zapisali się do partii bez przekonania, „nie chcąc iść przeciwko ogólnemu prądowi” – jak twierdził lekarz SS Johann

Paul Kremer, skazany za zbrodnie w Auschwitz.

„Chodziło o mechanizm obronny” – uważa Sven Felix Kellerhoff, szef działu historycznego dziennika „Die Welt”. W szczytowym okresie, pod koniec wojny, NSDAP miała 8,5 mln członków. Tym samym do partii nazistowskiej należał więcej niż co dziesiąty Niemiec. Jeśli odliczyć nieletnich – nawet co siódmy. A jeśli uwzględnić różne przybudówki NSDAP, jak Front Pracy, Hitlerjugend czy Narodowosocjalistyczną Wspólnotę Kobiet, śmiało można powiedzieć, że większość obywateli przynajmniej biernie współtworzyła brunatny reżim. Niezależnie od tego, czy w 1932 i 1933 r. głosowali na NSDAP.

Długa droga do rozrachunków

Denazyfikacja okazała się powierzchowna. W Niemieckiej Republice Demokratycznej, utworzonej w 1949 r. z sowieckiej strefy okupacyjnej, byli naziści na ogół mogli spać spokojnie, jeśli wybrali lojalność wobec komunistycznych

władz. W wolnorynkowej Republice Federalnej Niemiec tym bardziej nie było klimatu do rozliczeń.

– Panowała mentalność odbudowy. O III Rzeszy nie rozmawiano, a jeśli, to o „nazistach”, jakby byli kosmitami, którzy w 1945 r. odlecieli swoim spodkiem – mówi „Tygodnikowi” dr hab. Jochen Böhrer, historyk z Uniwersytetu Schillera w Jenie. – Żołnierze wracający z wojny i z niewoli milczeli w domu o strasznych zbrodniach, których byli świadkami albo których sami się dopuścili. Nie mówiło się o ofiarach niemieckiej wojny na wyniszczenie prowadzonej na Wschodzie. Tylko ogólnie o tym, że wojna to „coś złego”.

Jeśli oplakiwano ofiary, to przede wszystkim własne. Tak jak w fabularnym filmie „Nacht fiel über Gotenhafen” („Noc zapadła nad Gdynią”) z 1960 r., opowiadającym o ucieczce cywilów z Prus Wschodnich i tragedii statku „Wilhelm Gustloff”, storpedowanego przez sowiecki okręt podwodny. Zekranizowana ostatnio powieść Siegfrieda Lenza „Der Überläufer” →



→ („Dezerters”) z 1951 r. przez długie lata leżała w szufladzie. Wydawca przestraszył się książki o żołnierzach Wehrmachtu, którzy przeszli na stronę Armii Czerwonej. W czasach narastającej zimnej wojny między Wschodem a Zachodem takie historie nie były dobrze widziane. W RFN w cenie był antykomunizm.

Pielęgnowano zarazem mit rycerskiego Wehrmachtu – rzekomo apolitycznej instytucji, która nie miała nic wspólnego ze zbrodniami formacji policyjnych i SS. Służba wojskowa w latach 1939-45 była postrzegana jako spełnienie obowiązku wobec ojczyzny. Nad spiskowcami z armii, którzy 20 lipca 1944 r. próbowali zabić Hitlera, jeszcze długo po wojnie ciążyło odium zdrajców. Wdowy po nich miały trudności z uzyskaniem renty oficerskiej, choć równolegle wypłacano świadczenia żonom nazistowskich zbrodniarzy skazanych na śmierć. Dopiero w 1952 r. prokurator Fritz Bauer zdołał doprowadzić do sądowej rehabilitacji spiskowców z 20 lipca – ich rodzinom otworzyło to drogę do dochodzenia swoich praw.

Dwa państwa, dwa modele

Rosło jednak nowe pokolenie, które nie pamiętało III Rzeszy, wychowywane nie bez wpływu zwycięskich mocarstw, próbujących – mniej lub bardziej skutecznie – oddziaływać na kształt programów szkolnych i odradzających się mediów. Pod koniec lat 60. młodzi coraz śmielej dochodzili do głosu w RFN, zadając rodzicom i dziadkom niewygodne pytania o postawę w czasach narodowego socjalizmu.

W listopadzie 1968 r. niespełna 30-letnia Beate Klarsfeld publicznie spoliczkowała kanclerza Kurta Geорга Kiesingera, nazywając go nazistą. Kiesinger, wówczas polityk chadeckiej CDU, rzeczywiście należał w przeszłości do NSDAP. Ale gest Klarsfeld stał się też symbolem protestu

przeciw bezkarności wielu brunatnych zbrodniarzy i – szerzej – zbywaniu milczeniem niemieckich win. Z czasem rosła w RFN ich świadomość, przynajmniej w odniesieniu do zagłady Żydów. Pomogły w tym procesy esesmanów z Auschwitz (trwające we Frankfurcie nad Menem od 1963 r.), a jeszcze bardziej głośnie produkcje filmowe, jak fabularny „Holocaust” Marvina Chomsky’ego (1978) i dokumentalny „Shoah” Claude’a Lanzmanna (1985).

Inaczej wyglądało to w NRD, gdzie odolne debaty o przeszłości nie były możliwe. Socjalistyczne państwo starało się centralnie sterować pamięcią społeczeństwa. Każdego 8 maja, w rocznicę „wyzwolenia od hitlerowskiego faszyzmu” (w latach 1950-67 i w 1985 r. obchodzonego w NRD jako oficjalne święto), czołowi politycy i działacze komunistycznej młodzieżówki karnie pielgrzymowali pod monumentalny pomnik czerwonoarmistów, odsłonięty w 1949 r. w berlińskiej dzielnicy Treptow. Podobne uroczystości odbywały się w innych miastach, np. na grobach sowieckich żołnierzy.

– Wszędzie składano kwiaty, recytowano wiersze, śpiewano pieśni. W gazetach pełno było podziękowań pod adresem Związku Sowieckiego i bohaterów czerwonoarmistów – wylicza Stefan Wolle. – Spiętrzeniem tego kiczu były okrągłe rocznice – dodaje. W trzydziestą, przypadającą w roku 1975, na wzór sowiecki obchodzono 9 maja jako dzień zwycięstwa. Chodziło o „historyczne znaczenie zwycięstwa Związku Sowieckiego w II wojnie światowej”.

„Niemiecka Republika Demokratyczna nigdy nie przedsięwzięła wojny zaborczej ani nie użyje swoich sił zbrojnych przeciwko wolności innego narodu” – patetycznie zapisano w konstytucji z 1968 r. Deklarowany pacyfizm – jeden z filarów ideologicznych NRD – nie przeszkadzał wschodni Niemcom przywódcom partyjnym naciskać

na „bratnią pomoc” Układu Warszawskiego w Czechosłowacji, która w tym samym 1968 r. próbowała wprowadzić „socjalizm z ludzką twarzą”, oraz w Polsce, gdy w latach 1980-81 trwała rewolucja Solidarności.

Z czasem eneradowski reżim coraz chętniej odwoływał się też do dziedzictwa Prus, czego wymownym świadectwem było w 1980 r. przywrócenie pomnika Fryderyka Wielkiego w reprezentacyjnej stołecznej alei Unter den Linden. Nad Wisłą budziło to najgorsze skojarzenia z czasami rozbiorów.

Niemcy bezżębne

Obawy niektórych publicystów, że duch pruskiego militarysty zwycięży po 1990 r. w zjednoczonych Niemczech, na szczęście okazały się bezpodstawne. Wygrywa wyraźnie pacyfizm – nie w karykaturalnym eneradowskim wydaniu, lecz w złagodzonej wersji ruchów studenckich i ekologicznych z RFN.

„Nigdy więcej wojny!” – powtarzają od lat niemieccy dziennikarze i politycy. Wehrmacht – zwłaszcza od czasu głośniejszej wystawy z 1995 r. o jego zbrodniach – jest skompromitowany, ale także Bundeswehra nie cieszy się powszechnym szacunkiem. Gdy większość muzeów wojskowych na świecie oddaje hołd żołnierzom i głosi chwałę oręża, Muzeum Wojskowo-Historyczne Bundeswehry w Dreźnie – otwarte po gruntownej przebudowie w 2011 r. – to raczej krzyczące ostrzeżenie przed wojną i jej potwornościami. Armii ufa niespełna połowa (45 proc.) Niemców, dużo mniej niż policji, lekarzom (po 80 proc.) czy choćby własnemu pracodawcy (68 proc.) – dowodzi tegoroczny sondaż na zlecenie telewizji RTL i ntv.

Dziś – 75 lat po wojnie wywołanej przez Niemcy – paradoksalnie to zagraniczni partnerzy coraz częściej domagają się od Berlina większego zaangażowania militarnego. Z marnym rezultatem. Choć

kraje NATO zobowiązały się wydawać na obronność 2 proc. PKB, kanclerz Merkel obiecała sojusznikom jedynie 1,5 proc. Okazuje się, że tylko 15 proc. społeczeństwa uważa, że to za mało – pokazuje sondaż ośrodka YouGov z 2018 r. Prawie połowa badanych chciałaby też wycofania z ich kraju wojsk amerykańskich.

„Niemcy mają problem. Są tak przeziębieni pacyfizmem, że praktycznie są niezdolni do tego, aby się bronić” – komentuje magazyn „The European”. Owszem, w 1999 r. niemieckie lotnictwo wzięło udział w nalotach NATO na Jugosławię. Jednak nawet idea wojny sprawiedliwej – mającej zapobiec rzeziom cywilów i katastrofom humanitarnym – jest w Niemczech traktowana nieufnie.

Ówczesny lewicowy rząd tłumaczył więc, że interwencja na Bałkanach ma zapobiec „drugiemu Auschwitz”. Niedolę Albańczyków prześladowanych przez reżim Slobodana Miloševića porównywano też z losem tych Niemców, którzy u schyłku II wojny światowej zostali pozabawieni stron ojczystych.

Powrót własnych ofiar

Nie przypadkiem to właśnie w 1999 r. Związek Wypędzonych Eriki Steinbach wysunął projekt budowy Centrum przeciwko Wypędzeniom. W Polsce podniosły się głosy, że to próba pisania historii na nowo i zamiany katów z ofiarami. Ale przekonanie, że także własnym ofiarom II wojny światowej należy się upamiętnienie, stopniowo zwyciężało również w środowiskach niemieckiej lewicy. W 2002 r. głośno było za Odrą o powieści Güntera Grassa „Idąc rakiem”, osnutej wokół tragedii statku „Wilhelm Gustloff”. W tym samym czasie w bestsellerowej książce „Pożoga” Jörg Friedrich – wcześniej przypominający o zbrodniach Wehrmachtu w kampanii sowieckiej – opisał alianckie bombardowania Rzeszy, ustawiając je na jednej płaszczyźnie ze zbrodniami niemieckimi.

Temat niemieckich ofiar podjęli wkrótce filmowcy. „Die Flucht” („Ucieczka”) z 2007 r. opowiada o dramatycznych losach Niemców, którzy w 1945 r. uciekali z Prus Wschodnich przed Armią Czerwoną. „Kobieta w Berlinie” (2008) przypomina o sowieckich gwałtach na Niemkach. „Die Gustloff” (2008) to znów tragedia niemieckich uchodźców. Wymienione produkcje

■ Paradoksalnie 75 lat po tamtej wojnie to zagraniczni partnerzy coraz częściej domagają się od Berlina większego zaangażowania militarnego i większych wydatków na obronność.

miały budżety liczone w milionach euro i były prezentowane w najlepszym czasie antenowym. „Morał wszystkich tych opowieści brzmi: również Niemcy cierpieli” – podsumowuje dziennik „Der Tagesspiegel”.

– Upamiętnianie własnych ofiar jest niezmiernie istotne dla każdego społeczeństwa i nie jest niczym złym – przekonuje Jochen Böhrer, znany z książek o zbrodniach Wehrmachtu w Polsce. Jego zdaniem problem powstaje wówczas, gdy niemieckie ofiary II wojny światowej próbuje się zrównać z ofiarami niemieckiej okupacji i zbrodni przeciwko ludzkości. – To nie do przyjęcia z powodów moralnych, bo bez masowych zbrodni niemieckich nie doszłoby do wypędzenia Niemców ani bombardowań niemieckich miast – tłumaczy historyk.

Nie dla wszystkich środowisk w Niemczech jest to oczywiste. „Kultowi winy” przez lata sprzeciwiała się neonazistowska Narodowodemokratyczna Partia Niemiec (NPD), w skali kraju będąca na szczęście – mimo obecności w niektórych wschodniemieckich parlamentach regionalnych – zjawiskiem marginalnym. Dziś w podobne tony uderza Alternatywa dla Niemiec (AfD). Ją trudno już uznać za polityczny margines, jest to bowiem największa siła opozycyjna w Bundestagu.

Bardziej umiarkowani działacze AfD, jak Alexander Gauland, przekonują, że „Hitler i naziści są tylko ptasim gównem” w przeszło tysiącletniej historii Niemiec, ergo: nie warto wciąż przypominać o III Rzeszy. Inni, jak Björn Höcke, chcą wręcz, by w niemieckiej polityce pamięci dokonano się „zwrot o 180 stopni”. „My, Niemcy, jesteśmy jedynym naro-

dem świata, który postawił sobie w sercu stolicy pomnik hańby” – uważa Höcke. Chodzi o Pomnik Pomordowanych Żydów Europy, odsłonięty w 2005 r. nieopodal Bramy Brandenburskiej. Polityk AfD woli przypominać o niemieckich ofiarach – choćby zburzenia Drezna w lutym 1945 r. Stąd już niebezpiecznie blisko do radykałów, którzy alianckie bombardowania nazywają „Holokaustem bombowym” i relatywizują Szoah.

Odrobiona lekcja?

Zagłada europejskich Żydów to dziś słusznie jeden z fundamentów niemieckiej pamięci o II wojnie światowej. Projekt postawienia w Berlinie pomnika polskich ofiar wciąż nie znalazł tymczasem poparcia większości parlamentarnej. A jeśli w niemieckiej kulturze popularnej pojawiają się wątki polskie, to bywa, że zgrzytamy zębami. Przykładem nieszczęsny serial „Nasze matki, nasi ojcowie” z 2013 r., w którym Armia Krajowa została sportretowana jako siedlisko antysemitów. Irytujemy się, że Niemcy czczą swój skromny ruch oporu, a nie dostrzegają fenomenu Polskiego Państwa Podziemnego. Złościmy się, gdy hamburski „Der Spiegel” pisze na okładce o „europejskich współnikach Hitlera” i wymienia wśród nich polskich szmalcowników.

Chcielibyśmy, aby w niemieckich podręcznikach więcej było o historii Polski i polskich ofiarach. Niełatwo będzie do tego doprowadzić. Większość (55 proc.) badanych za Odrą uważa, że o zbrodniach nazistowskich Niemiec przypomina się w dostatecznym stopniu. Tylko co szósty (17 proc.) jest zdania, że mówi się o nich zbyt mało – wynika z sondażu ośrodka Infratest dimap dla Deutsche Welle, którego wyniki zaprezentowano w styczniu tego roku.

Niemcy mają poczucie, że dobrze odrobili lekcję historii. Nic jednak nie jest dane raz na zawsze. Wiedzę o tamtym 8 maja i poprzedzającym go 1 września trzeba – jak szczepionkę przeciwko grypie – regularnie powtarzać.

© FILIP GAŃCZAK

AUTOR jest historykiem, pracownikiem IPN w Warszawie. Opublikował książki: „Jan Sehn. Tropiciele nazistów”, „Polski nie oddamy. Władze NRD wobec wydarzeń w PRL 1980–1981”, „Filmowcy w matni bezpieki”, „Erika Steinbach: piękna czy bestia?”.

Długa droga ku normalności

NORBERT LAMMERT, BYŁY PRZEWODNICZĄCY BUNDESTAGU:

Relacje Niemiec z Polską są i będą relacjami szczególnymi, z historycznego i moralnego punktu widzenia.

WOJCIECH PIĘCIAK: W 1996 r., po 50. rocznicy końca II wojny światowej, w Niemczech ukazała się ciekawa książka: rozmowa, czasem przeradzająca się w ostry spór, między jednym z liderów chadecji Wolfgangiem Schäuble i szefem Rady Żydów w Niemczech Ignatzem Bubisem. Wtedy, po zjednoczeniu, w Niemczech toczyło się wiele dyskusji, w których centrum była XX-wieczna historia. Prowadzący rozmowę Schäuble–Bubis dziennikarz Frank Schirrmacher podsumował wówczas, że wspólnym mianownikiem tych debat jest konflikt, w którym są dwie „szkoły”: jedna uważa, że narodowy socjalizm i zwłaszcza Holokaust to centrum, nieszczęsne centrum niemieckiej historii. Druga, że to straszne, ale tylko momenty, które nie powinny rzucać cienia na całą tę historię. Jak dziś wygląda ten konflikt? Gdzie umiejscawia się II wojnę?

NORBERT LAMMERT: 35 lat temu, 8 maja 1985 r., ówczesny prezydent Richard von Weizsäcker powiedział podczas wystąpienia w Bundestagu, że „8 maja 1945 r. był dniem wyzwolenia”. Gdy formułował to zdanie, nie był to pogląd podzielany przez większość Niemców, lecz nowa interpretacja. Dziś, 75 lat po tamtej wojnie, podziela go zdecydowana większość Niemców, którzy są świadomi swej historii. Wiemy, że 8 maja 1945 r. zakończyła się światowa wojna, którą zaczęły Niemcy, niemiecki rząd. I którą prowadziły z wyjątkową energią oraz pogardą dla ludzi, co kosztowało życie ponad 60 mln istot.

8 maja był dla całego kontynentu dniem wyzwolenia od narodowego socjalizmu. Tyle że dla Niemców nie był to dzień samowyzwolenia. Nawet jeśli nie zapominamy dziś o nieudanych próbach obalenia Hitlera, podejmowanych przez odważnych Niemców z ruchu oporu, na-

sza pamięć i szacunek kierują się głównie ku tym, którzy zakończyli tę tyranię, za cenę niewyobrażalnych strat, oraz ku tym, którzy musieli cierpieć za sprawą tej tyranii.

Dla nas 8 maja to był równocześnie koniec i początek. Było to wyzwolenie, bo dopiero koniec wojny pozwolił Niemcom zacząć na nowo, pozwolił kształtować przyszłość inaczej, lepiej. Równocześnie ten nowy początek był obciążony skutkami II wojny: z jednej strony była Karta ONZ i ambitny projekt, by europejskie nacjonalizmy przezwyciężyć poprzez wspólnotę państw, a z drugiej strony atomowa konfrontacja oraz podział świata i naszego kraju, który trwał kilka dekad. W za chodnich strefach okupacyjnych Niemcy wyciągnęli antytotalitarne lekcje z przeszłości i wkroczyli – najpierw w Republice Federalnej, a po zjednoczeniu w 1990 r. już razem – na „długą drogę ku Zachodowi”, jak nazwał to jeden z historyków. Właśnie dlatego, że 8 maja Niemcy nie wyzwolili się sami, nasze spory o przeszłość były procesem bolesnym, mającym też charakter wewnętrznego wyzwolenia – nie po to, by uwolnić się od historii, lecz przeciwnie: by stawić jej czoło. Tylko ze świadomością naszych gorzkich doświadczeń – o tym jesteśmy przekonani – możemy odpowiedzialnie kształtować polityczną teraźniejszość i przyszłość, i służyć wolności i pokojowi w świecie.

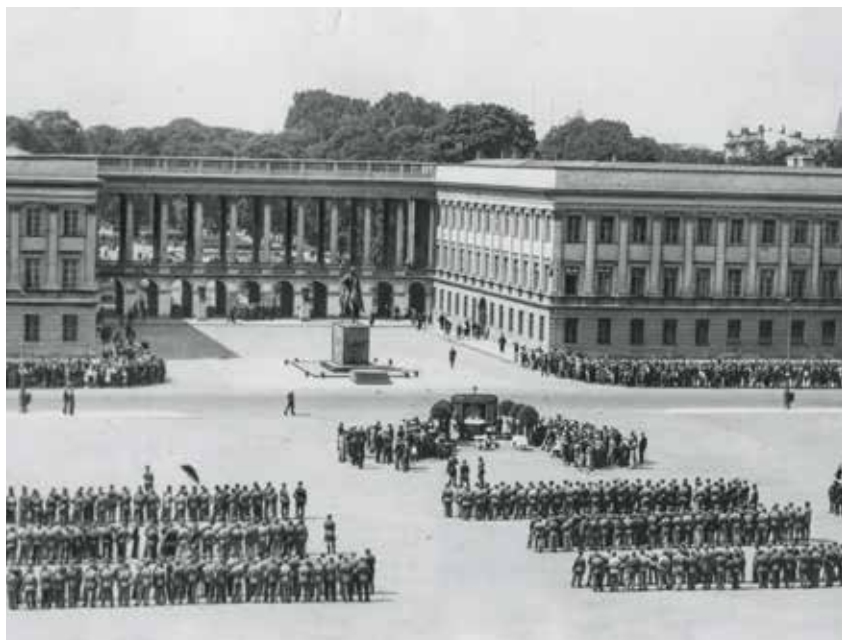
Bubis, który przeżył Holokaust, mówił często, że jego celem jest nowa normalność między Niemcami i Żydami mieszkającymi w Niemczech. Tymczasem gdy jakiś niemiecki polityk mówi o „normalności”, łatwo o wrażenie, że chce odkreślić przeszłość „grubą kreską”. Niektórzy politycy AfD mówią to dziś zresztą otwarcie. Jak jest z tą „normalnością” między Niemcami i ich ówczesnymi ofia-

rami? Między Niemcami i Żydami, Niemcami i Polakami?

W relacjach między Niemcami i Polską nie może być i w jakiejś przewidywalnej przyszłości nie będzie „normalności”, w ścisłym znaczeniu tego słowa. I tym bardziej nie może jej być w relacji między Niemcami i Żydami oraz Republiką Federalną i Izraelem. Po prostu: z powodu niewymownych zbrodni, które Niemcy popełnili w czasie dyktatury narodowo-socjalistycznej, dwustronne relacje Niemiec z Polską i Izraelem są relacjami szczególnymi – z historycznego i moralnego punktu widzenia.

Tak jak to było w przeszłości, tak też w przyszłości jednym z fundamentów relacji polsko-niemieckich musi być pamięć i wynikająca z niej świadomość wspólnej historii. Ani Niemcy, ani Polacy nie mogą kształtować swojej przyszłości, wypierając czy kwestionując swoją przeszłość. Bo Niemcy i Polacy mają nie tylko wspólną granicę, lecz dzielą ze sobą przede wszystkim wspólną historię – historię, która stoi pod znakiem nie tylko cierpienia i winy, lecz także wielkich wspólnych przekonań i wysiłków. Ponieważ jednak w tej historii granice odgrywały często fatalną, zgubną rolę, i z powodu odmiennych percepcji po obu stronach tej granicy, dialog między nami jest nieodzowny.

Ten dialog zaczął się wkrótce po wojnie. Np. w 1947 r. mieliśmy pierwsze spotkanie młodzieży niemieckiej w Gemen i przyjęte wtedy przesłanie „do polskiej młodzieży”. Wydaje mi się, że był to pierwszy powojenny dokument, w którym wzywano Polaków i Niemców, by jako chrześcijanie budowali przyszłość w pokoju i przyjaźni [w 1947 r. młodzi katolicy wysiedleni z Gdańska powołali tam Gemeinschaft der Danziger Katholischen Jugend, Stowarzyszenie Gdańskiej Młodzieży Katolickiej, na bazie którego w 1960 r. powstał Adalbertus-Werk, Dzieło im. Świętego Wojciecha; było to



LEON JARUMSKI / NAC

Msza polowa na obecnym placu Piłsudskiego. W tle Pałac Saski, z którego po II wojnie światowej pozostanie tylko fragment kolumnady z Grobem Nieznanego Żołnierza. Warszawa, 7 sierpnia 1932 r.

środowisko wysiedleńców, które od początku opowiadało się za porozumieniem z Polską – red.]. Wtedy nikt nie uważał za możliwe, że Polacy i Niemcy będą kiedyś sąsiadami w wolnej i zjednoczonej Europie. To właściwie cud. A my jesteśmy wspólnie odpowiedzialni, by tego nie za-przepaścić.

Mniej więcej 20 lat temu w Niemczech pojawił się trend, by w centrum uwagi stawiać na nowo własne ofiary. Zaczęło się od Centrum przeciw Wypędzeniom, spornego także w Niemczech, ale potem stało się to mainstreamem. Telewizja publiczna zaczęła podejmować w filmach takie tematy jak wysiedlenia czy naloty. Czasem nie były to filmy udane, np. serial „Nasze matki, nasi ojcowie”. W Polsce patrzono na to z niepokojem, w 2005 r. publicysta Janusz Reiter pisał, że „Niemcy nie rozumieją dziś Polaków, a Polacy nie ufają dziś Niemcom”. Jak to wygląda obecnie?

Nie mam wrażenia, aby w Niemczech faktycznie był taki trend, tak opisany. Być może tu i tam są w Niemczech czasem próby, aby niemieckie ofiary, jak pan to nazwał, „stawiać w centrum uwagi” w jakiś szczególnie sposób – i aby wykorzystać je instrumentalnie przeciwko innym ofiarom. Środowiska, z jakich po-

dejmowane są takie próby, są przy tym stale te same – i nasza polityka oraz społeczeństwo obywatelskie polemizują, stale i stanowczo, z takimi próbami. Podczas przemówienia, wygłoszonego w lutym tego roku w Dreźnie [w 75. rocznicę alianckiego nalotu, który zniszczył miasto – red.], prezydent Frank-Walter Steinmeier mówił trafnie: „Walczyliśmy wspólnie przeciwko tym wszystkim, którzy chcą nadużyć pamięć i wykorzystać ją jako amunicję, aby toczyć swoje ideologiczne bitwy!”.

Od jakiegoś czasu między Warszawą i Berlinem jest punkt sporny: kwestia materialnego naprawienia wojennych szkód, czyli reparacji. Oficjalnie nie ma jej na porządku dziennym, ale obciąża nasze relacje. Stanowisko Berlina jest znane. Z drugiej strony większość Polaków – niezależnie od sympatii do rządu – uważa, że Niemcy nie zadośćuczyniły materialnie za tamtą wojnę. Może dałoby się rozwiązać tę kwestię pragmatycznie, np. w ten sposób, że Niemcy wesprą modernizację polskiej armii? Precedens jest: Niemcy od dawna współfinansują izraelskie zbrojenia. Ostatnio rządzący Koehla, Schrödera i Merkel współfinansowały budowę w niemieckich stoczniach floty okrętów podwodnych. Dziś te okręty przeno-

szą rakiety atomowe, co zapewnia Izraelowi zdolność do uderzenia odwetowego, czyli jest gwarancją jego bezpieczeństwa.

Jak już mówiłem, relacje Niemiec z Polską oraz Niemiec z Izraelem są w obu tych przypadkach szczególne. Przy czym trudno jest je porównywać czy sobie przeciwstawiać, bo z punktu widzenia bezpieczeństwa obu krajów, Izraela i Polski, ich położenie jest jednak odmienne, podobnie jak odmienne były uwarunkowania w punkcie wyjścia, jak też aktualne tendencje w relacjach politycznych, społecznych i gospodarczych. W odróżnieniu od każdego innego kraju, zwłaszcza w Europie, w przypadku Izraela kwestionowane jest nadal i zwalczane nawet jego prawo do istnienia. Również dlatego niemiecko-izraelska współpraca w dziedzinie militarnej, zbrojeniowej, ma długą i specyficzną historię. Jednak także z Polską Niemcy utrzymują w sferze polityki bezpieczeństwa bliskie kontakty – zarówno na poziomie dwustronnym, między armiami obu krajów, jak też na poziomie ponadnarodowym w ramach NATO i Unii Europejskiej. W obu organizacjach jesteśmy sojusznikami, którzy obiecali sobie wzajemne wsparcie militarne w razie zagrożenia.

Jesteśmy świadomi, że nie da się naprawić tych wszystkich zbrodni i cierpień, których Niemcy dopuścili się w Polsce. To, czy również w przyszłości Republika Federalna mogłaby w jakiś szczególny sposób przyczynić się np. do odbudowy zniszczonych miejsc, takich jak Pałac Saski w Warszawie, powinno zostać rozstrzygnięte na odpowiednim szczeblu politycznym. Jednak z mojego punktu widzenia istotniejsze jest, aby wspierać – także finansowo – polsko-niemiecką przyjaźń w sferze społeczeństwa obywatelskiego. Bo jest to właśnie ta sfera, która najprędzej zapewni długofalową jakość i stabilność relacji polsko-niemieckich – z pożytkiem dla obu krajów.

© Rozmawiał WOJCIECH PIĘCIAK



NORBERT LAMMERT

(ur. 1948) jest politykiem niemieckiej chadecji (CDU), w latach 2005-17 był przewodniczącym

Bundestagu. Z wykształcenia historyk i politolog; wykładowca i profesor Uniwersytetu Ruhry w Bochum. Od 2018 r. przewodniczący Fundacji Konrada Adenauera.

Pobieda online

ANNA ŁABUSZEWSKA

Epidemia COVID-19 i spadek cen ropy zaburzyły plan Kremla: świętowania Dnia Zwycięstwa i równoczesnego utrwalenia władzy Władimira Putina.

Obchody 75. rocznicy zwycięstwa „w wielkiej wojnie ojczyźnianej 1941–1945” – bo tak wygląda ona z rosyjskiej perspektywy – miały być w Moskwie i w Rosji huczne jak nigdy dotąd. Powołany przez prezydenta komitet organizacyjny planował w całym kraju liczne konkursy, koncerty, akademie i defilady. Niebawym rozmach jubileuszu miał pokazać światu, że Rosja jest zwycięzcą, który nie pozwoli sobie wyrwać przywileju dyktowania historycznej narracji. Uroczystości miały być także kolejnym liściem laurowym zdobiącym skroń Władimira Putina – obrońcy jedynie słusznej wersji historii i gwaranta potęgi państwa.

Bombastyczne plany przyszło pospieszyć korygować: przygotowania do świętowania Dnia Zwycięstwa zeszyły na dalszy plan pod naporem epidemii COVID-19, a także spadku cen ropy naftowej. Te dwa czarne łabędzie odebrały show *Pobiedzie*.

Koronawirus nie świętuje

Plan Kremla był prosty. Najpierw 22 kwietnia ogólnonarodowe głosowanie nad poprawkami do konstytucji, w tym najważniejszą: przyznającą Putinowi prawo wyzerowania dotychczasowych kadencji prezydenckich i startu w kolejnych wyborach w 2024 r. A zaraz potem, 9 maja, obchody 75-lecia *Pobiedzie* z wielką defiladą prezentującą najnowsze rakiety balistyczne i inne produkty przemysłu zbrojeniowego. Oba te wydarzenia miały zamknąć cykl kolejnej operacji umacniania władzy Putina na wieczność. Kult „wielkiego zwycięstwa” jest jednym z najważniejszych filarów jego tronu, fundamentem tożsamości mocarstwowej – stąd w putinowskiej Rosji nadano wielkiej wojnie ojczyźnianej status sakralny.

Nabierająca tempa kampania medialna, wprowadzająca Rosjan w stan euforii w związku ze zbliżającym się Dniem Zwycięstwa, wyhamowała już pod ko-

niec marca. Najpierw prezydent oznajmił w orędziu, że w obliczu zagrożenia zdrowia i życia obywateli przez epidemię plebiscyt konstytucyjny ma być przeniesiony na przyszłość, gdy sytuacja się ustabilizuje. Potem przyszedł czas na weryfikację planów obchodów 9 maja. Wprawdzie z początkiem kwietnia na podmoskiewskim poligonie Ałabino odbyła się pierwsza próba defilady, wzięło w niej udział kilkanaście tysięcy żołnierzy. Jednak kolejne przymiarki już wstrzymano z uwagi na zagrożenie epidemiczne. Ostatecznie, 16 kwietnia, przychylając się do prośby weteranów, prezydent odwołał główną moskiewską defiladę.

W mediach pojawiły się sugestie, że decyzja zapadła, gdy okazało się, że w szkole kadetów, którzy mieli jak zwykle wziąć udział w paradzie, wykryto ponad 30 przypadków zakażenia koronawirusem. To miała być kropla przepełniająca czarę i przełamująca wahanie prezydenta, który teraz od nowa musi ustawić figury na szachownicy, chwiejącej się pod naporem niekorzystnych zjawisk.

Nie tylko defilada została przełożona, także festyny i inne imprezy masowe, planowane na 9 maja. W tym marsz „Nieśmiertelny pułk”, którego uczestnicy niosą portrety swoich przodków – uczestników wojny. Uroczystości mają się odbyć w innym terminie. Kiedy? Na razie nie wiadomo. Rozpatrywane są: 24 czerwca (tego dnia w 1945 r. odbyła się w Moskwie pierwsza defilada zwycięstwa), 3 września (dzień zakończenia II wojny światowej po pokonaniu Japonii, o czym więcej poniżej) lub 7 listopada – tego dnia, w rocznicę rewolucji październikowej, odbyła się w 1941 r. słynna defilada, której uczestnicy pomaszerowali prosto na front bronić Moskwy, pod którą podeszli Niemcy.

Rocznica tej defilady jest rokrocznie fetowana w putinowskiej Rosji: stanowi ważny element heroizacji kiepsko wy-



szkolonych i wyekwipowanych ochotników, rzuconych do walki w obronie stolicy. Putin z dumą podkreśla, że był to początek powstrzymania Blitzkriegu.

Klucz do teraźniejszości

W rosyjskiej telewizji często powtarzanym przerwaniem między programami jest dziś krótki materiał przypominający różne ważne wydarzenia z historii Rosji. Spoiwem łączącym wątki jest hasło: „Nasza przeszłość to klucz do teraźniejszości”. Podkreśla to wagę historii w kształtowaniu tożsamości narodu. W ujęciu telewizyjnej propagandy przeszłość jest zawsze wielka, nigdy wstydliva. W tej wersji II wojny światowej, utrwalonej jeszcze w czasach sowieckich, „wyjęto” więc okres 1939–41, gdy Stalin zawarł sojusz z Hitlerem, dokonał rozbioru Polski, aneksji państw bałtyckich i najechał Finlandię (znamienne, że przegrana wojna zimowa z Finlandią, znajdująca się na indeksie w Związku Sowieckim, do dziś właściwie nie istnieje w ofi-



MARTIN DIVISEK / EAP / PAP

cialnej narracji). Dla przeciętnego Rosjanina II wojna światowa zaczęła się więc 22 czerwca 1941 r.

I zakończyła się 9 maja 1945 r. zdobyciem Berlina przez Armię Czerwoną. Przez wszystkie powojenne lata podkreślano pewien niuans – świat zachodni obchodził rocznicę zakończenia wojny 8 maja, a Związek Sowiecki dzień później (akt kapitulacji podpisano 8 maja późnym wieczorem, w Moskwie było już po północy) – zaznaczając w ten sposób odrębność postrzegania zwycięstwa.

Kilka lat temu w oficjalnych rosyjskich mediach zaczęto przypominać też o 2 września 1945 r. jako dacie definitywnego końca tamtej wojny, gdy Japonia podpisała akt bezwarunkowej kapitulacji na pokładzie pancernika USS „Missouri”. Nieoczekiwanie 14 kwietnia tego roku deputowani Dumy Państwowej przegłosowali ustawę o przeniesieniu daty zakończenia wojny z 2 na 3 września, bo dopiero wtedy władze sowieckie wydały odnośny edykt, potwierdzający zakończenie działań wojennych.

Własna narracja, własne daty

Inicjatywa ta zdziwiła obserwatorów i nie została praktycznie dostrzeżona przez ogół społeczeństwa, zajętego epidemią i pogarszającym się stanem gospodarki. Natomiast idea urządzania pikników zwycięstwa 3 września spotkała się z krytyką samego prezydenta, który zaznaczył, że radosne fetowanie byłoby nie na miejscu w przypadającą na ten dzień bolesną rocznicę Biesłanu (3 września 2004 r. doszło do szturmów na opanowaną przez czecheńskich terrorystów szkołę w tym północnoosetyjskim mieście, zginęły 334 osoby).

Nowa data zakończenia wojny, „poprawiona” ostatnio przez deputowanych, wpisuje się w tok myślenia rosyjskich polityków o wojnie i jej spuściznie. Podkreślają oni przy każdej okazji, że Rosja ma prawo do własnej narracji (również do własnych dat zakończenia wojny) i będzie jej bronić, każdy sprzeciw będzie traktować jak próbę podważenia należnego jej statusu zwycięzcy, a odmienne

Demontaż pomnika marszałka

Iwana Koniewa w Pradze, 3 kwietnia 2020 r.

ujęcie historycznych wydarzeń jako herzej.

Do tej sfery należy prowadzona od lat batalia o zachowanie tzw. pomników wdzięczności dla Armii Czerwonej. Moskwa ostro reaguje na ich demontaż, przyrównując to do bezczeszczenia cmentarzy (choć nie ma to nic wspólnego), uznając za sprzeniewierzenie się prawdzie historycznej i za pozbawianie czerwonoarmistów należnej im chwały wyzwoleńców.

Koniew versus Własow

Ostatnio Kreml toczy tutaj zajadły bój z Czechami – w centrum zainteresowania znalazł się praski pomnik marszałka Iwana Koniewa.

„W listopadzie 2019 r. starosta dzielnicy Pragi Řeporyje, Pavel Novotný, wystąpił z inicjatywą upamiętnienia własowców [żołnierzy Rosyjskiej Armii Wyzwoleńczej: formacji pod komendą gen. Andrieja Własowa, którzy na początku wojny przeszli na stronę Niemców – red.]. W maju 1945 r. przyszli oni w sukurs praskiemu powstaniu i walnie przyczynili się do wyzwolenia Pragi – pisze Andriej Kolesnikow w analizie „Historia pod bronią: niesekretna wojna Kremla” na portalu Carnegie.ru. – Wojska Pierwszego Frontu Ukraińskiego pod dowództwem Iwana Koniewa weszły do oczyszczonego z hitlerowców miasta. 187 własowców, którzy zginęli w walkach, spoczywa w bratniej mogile w Pradze. Inicjatywa Novotnego pozostałaby zapewne niezauważona, gdyby rosyjska ambasada w Czechach nie zrobiła wokół tego skandalu, a rosyjskie MSZ nie zakwalifikowało tego pomysłu jako kolejnej próby rewizji historii”.

Był to wstęp do kolejnego etapu wojny o pamięć z Czechami: 3 kwietnia w dzielnicy Praga 6 zdemontowano pomnik wspomnianego marszałka Koniewa. Decyzję podjęły władze dzielnicy, monument ma zostać przekazany powstającemu właśnie w stolicy Czech Muzeum Historii XX Wieku.

Rosja zaprotestowała na kilku szczeblach. Minister obrony zwrócił się do czeskiego kolegi z prośbą o oddanie pomnika. Otrzymał odpowiedź, że pomnik nie należy do czeskiego ministerstwa obrony, lecz pozostaje w gestii władz dzielnicy Praga 6, a te zdecydowały o umieszczeniu go w muzeum. „Rosja nie może się →

→ domagać zwrotu czegoś, co do niej nie należy” – argumentowano.

Zdaniem strony czeskiej nie jest to demontaż *sensu stricto*, lecz zmiana „miejsca pobytu” pomnika. Nowe miejsce ma być bezpieczniejsze, chronione, w przeciwieństwie do skweru, na którym Koniew stał dotychczas, a gdzie wielokrotnie był oblewany czerwoną farbą (dochodziło do tego szczególnie często po aneksji Krymu przez Rosję w 2014 r.). Do muzeum trafi nie tylko rzeźba, lecz także tablice – jedna z 1980 r. (gdy pomnik stawiano, wychwalająca bohaterstwo Koniewa w wyzwoleniu Pragi) oraz druga z 2018 r., na której wspomina się o jego niesławnym udziale w tłumieniu węgierskiego powstania w 1956 r.

Plac imienia Niemcowa

Głos w sprawie zabrała rzeczniczka rosyjskiego MSZ: nazwała przeniesienie pomnika przestępstwem i zaznaczyła, że to „nie pozostanie bez odpowiedzi”. Z kolei jej szef, minister Siergiej Ławrow, uznał decyzję władz dzielnicy Praga 6 za pogwałcenie dwustronnej umowy z 1993 r. – na co otrzymał odpowiedź czeskiego MSZ, że pomnik nie ucierpi i nie ma podstaw do takich oskarżeń.

To jednak nie uspokoiło strony rosyjskiej. Komitet Śledczy wszczął dochodzenie w sprawie usunięcia pomnika Koniewa, z artykułu 354. kodeksu karnego (publiczne znieważenie symboli wojennej sławy Rosji). W wielu materiałach rosyjskiej telewizji podkreślano, że usunięcie pomnika to próba podważenia wkładu Związku Sowieckiego w zwycięstwo, zatarcie zasług Koniewa w wyzwoleniu Pragi i próba fałszowania historii.

Kontrowersje na linii Praga–Moskwa dotyczą nie tylko II wojny światowej, lecz także historii najnowszej. 27 lutego tego roku plac Pod kaštany w Pradze, przy którym znajduje się ambasada Rosji, przemianowano na plac Borysa Niemcowa – opozycyjnego polityka zabitego pięć lat temu w zamachu pod murami Kremla. Prascy radni chcieli w ten sposób wyrazić swoją solidarność z rosyjską opozycją.

W odpowiedzi po stronie rosyjskiej pojawiła się w ostatnich dniach informacja, że ambasada będzie odtąd używać adresu rosyjskiego konsulatu, który znajduje się przy sąsiedniej ulicy Korunowačnı 34. Dlaczego? Z przyczyn technicznych: ponieważ władze miasta „wygasiliły” poprzedni adres (plac Pod kaštany). „Na-

■ Z oficjalnej wersji II wojny światowej „wyjęto” okres 1939-41, gdy Stalin zawarł sojusz z Hitlerem, dokonał rozbioru Polski, aneksji państw bałtyckich i najechał Finlandię. Dla przeciętnego Rosjanina wojna zaczęła się dopiero 22 czerwca 1941 r.

zwa ulicy Korunowačnı jest nazwą historyczną, używaną od stu lat. Prawdopodobieństwo zmiany tej nazwy jest znacząco mniejsze niż w przypadku toponimu plac Borysa Niemcowa, który nagle pojawił się w czeskiej stolicy” – tłumaczono.

Zawile i proste, zamarkowane i czytelnym: siedziba misji dyplomatycznej Rosji nie będzie się mieścić pod niechcianym adresem, upamiętniającym krytyka prezydenta Putina. Czeskim władzom Rosja przypisała polityczne intencje zmiany nazwy placu, sobie – tylko intencje czyste i techniczne.

Zwycięstwo „na udalonkie”

Wróćmy na rosyjskie podwórko. Jak obchodzić 75. rocznicę w warunkach epidemii? Jednym z najpopularniejszych rosyjskich słów stało się ostatnio wyrażenie *na udalonkie*, czyli: w trybie zdalnym, przez internet. W większości miast wszystko jest teraz *na udalonkie*: i praca, i zakupy, i lekcje, i rozmowy z przyjaciółmi, i... defilady.

W chwili, gdy piszę te słowa, na początku trzeciej dekady kwietnia, temat rocznicy jest w rosyjskich mediach niemal nieobecny (zapewne bliżej daty 9 maja powróci). Został zepchnięty przez COVID-19, wpływ epidemii na gospodarkę i nowe zagrożenie dla władzy Putina: znaczący spadek cen ropy. To wymusza zmianę planów politycznych i angażuje Kreml do tworzenia nowych programów przetrwania. Jeden ze złośliwych komentatorów pisał na Twitterze: „Putin myślał, że wyzeruje sobie kadencje, a tu wyzerowała się cena ropy. Coś poszło nie tak”. Na ra-

zie wszystkie moce przerobowe prokremlofskich mediów rzucono więc na tłumaczenie społeczeństwu, że na rynkach paliwowych nic poważnego się nie stało i wszystko wróci do normy. Podobnie jak gospodarka zaatakowana przez wirus.

Świętowanie *Pobiedы* też zostanie zapewne – przynajmniej w dużej części – przemieszczone do internetu. Na stronach Rosyjskiego Towarzystwa Historycznego codziennie przybywa publikacji poświęconych rocznicy, w ramach dwóch projektów: „28 mgnień wiosny 1945” Wiaczesława Nikonowa (wnuka Wiaczesława Mołotowa) oraz „Kroki ku Zwycięstwu” (teksty i materiały archiwalne pokazują ostatnie dni wojny).

Projekty te skierowane są jednak raczej do specjalistów. A co dla konsumentów kultury popularnej? Na oficjalnej stronie internetowej rocznicy (www.may9.ru) zamieszczane są na bieżąco informacje o inicjatywach związanych z obchodami: o dostępie przez internet do okolicznościowych wystaw, konkursach recytatorskich *online*, cyfrowej obróbce pierwszych stron gazet sowieckich z tamtego czasu, o cyklu Radia Kultura poświęconym ludziom kultury, którzy mieli swój udział w *Pobiedzie* itd.

W Jekaterynburgu żołnierze zniksowali możliwości wirtualu i realu: zorganizowali defiladę dla jednego weterana. 95-letni mężczyzna nie może wychodzić z domu, a zatem żołnierze kompanii reprezentacyjnej Centralnego Okręgu Wojskowego pokaz paradnego marszu zaprezentowali *online*, na ekranie dostarczonym pod dom weterana. Obejrzał on defiladę z balkonu.

Salut w rocznicę

Nic natomiast nie wskazuje na to, aby zaniechano pokazów fajerwerków w Parku Pobiedы na Pokłonnej Górze w Moskwie. Od 10 kwietnia 2019 r. odbywają się tam „saluty” w rocznicę zajęcia (w rosyjskiej wykładni: wyzwolenia) ważnych miast przez Armię Czerwoną: dwanaście salw z osiemnastu dział ZiS-3 76 mm (jednej z najczęściej używanych wtedy armat).

W tym roku kolorowe pióropusze rozbłysły już w rocznicę wkroczenia sowieckich wojsk do Warszawy, Budapesztu i Bratysławy. W planie jest pokaz 2 maja, w dniu zdobycia Berlina, oraz 9 maja – zajęcia Pragi.

Tak czy inaczej, zwycięstwo *na udalonkie*. © ANNA ŁABUSZEWSKA



SEAM GALLUP / GETTY IMAGES

W Parku Gorkiego, Moskwa, 9 maja 2015 r.

Stalin bał się ludzi, którzy wrócili z wojny

SIERGIEJ MIEDWIEDIEW, HISTORYK:

O ile w Niemczech pamięć opiera się na dogmacie „To nie może się powtórzyć”, o tyle w Rosji popularne jest hasło „Możemy to powtórzyć”.

ZBIGNIEW ROKITA: Co świętuje się w Rosji 9 maja? Nadal koniec wielkiej wojny ojczyźnianej? Czy może ten dzień obrósł już innymi znaczeniami?

SIERGIEJ MIEDWIEDIEW: Masom Rosjan wciąż chodzi o tę konkretną wojnę. To najważniejsze rosyjskie święto. Nasze państwo opiera się nie na pamięci o roku 1917, gdy obalono carat, a potem bolszewicy przejęli władzę, ani nie na pamięci o roku 1991, gdy upadł komunizm, lecz właśnie na pamięci o Zwycięstwie. *Pobieda* stała się świecką religią, dość zresztą zmitologizowaną.

W książce „Powrót rosyjskiego Le-wiatana”, wydanej niedawno także w Polsce, używa Pan wobec tego święta określenia „świecka Pascha”.

Rytuály są podobne: kult zmarłych, procesje z ikonami, do tego obchody przypadają na wiosnę, co sprawia, że Dzień Zwycięstwa jest przedłużeniem Paschy prawosławnej. To święto wojenne, a wojna w Rosji jest pojęciem uświęconym.

Rosja to jedyny kraj Europy Wschodniej, gdzie nie obchodzi się dnia

niepodległości. Czy Dzień Pobiedy pełni w Rosji taką funkcję?

W rosyjskiej mitologii nie ma pojęcia niepodległości. Teoretycznie mogliśmy obchodzić pamiątkę wydarzeń z lat 1990-91, gdy rozpadła się Związek Sowiecki. Jednak, o ile w przypadku Estonii czy Ukrainy ma to sens, to od kogo miałyby odłączyć się wtedy Rosja? Od siebie samej? Nikt Rosji nie okupował, nie przestała być imperium, nie uwolniła się od swojej historii. Nie świętujemy niepodległości, bo wciąż jesteśmy częścią kolonialnego imperium istniejącego od →

→ 500 lat i nie jesteśmy niepodlegli. Ono nadal nami włada. Rosja boi się rewolucji i nie będzie świętować roku 1917 oraz roku 1991.

Pisze Pan, że choć konstytucja zabrania uznania jakiegokolwiek ideologii za państwową, Zwycięstwo stało się taką ideologią.

Oficjalny kult opiera się na ideologii militaryzmu i supremacji. Władze mocno eksploatują dziś tę ideologię, a ona obrasta folklorem. Ludzie zakładają wojskowe czapki, przebierają dzieci za żołnierzy, stylizują wózki dziecięce na czołgi, a także przypinają sobie wstążki georgijewskie [czarno-pomarańczowa wstążka, nawiązująca do wstęgi od carskiego Orderu św. Jerzego, który nadawano za heroizm na polu walki; w 2005 r., w 60. rocznicę końca II wojny, agencja RIA Novosti zainicjowała akcję społeczną polegającą na masowym noszeniu takich wstążek; z czasem stały się one symbolem neoimperialnej polityki Rosji Putina – red.].

Pamięć Polaków czy Żydów o tej wojnie opiera się głównie na martyrologii, za to w Rosji na zwycięstwie. Na pytanie Centrum Lewady: „Co odczuwasz w związku z Dniem Pobiedy?”, 48 proc. Rosjan deklaruje radość ze zwycięstwa, a tylko 27 proc. smutek po ofiarach. W 2015 r. proporcje wynosiły nawet 59 proc. do 18 proc. Pan pisze: „Mało jest na świecie narodów gotowych tańczyć na zgliszczach własnego domu”.

Tak, to już nie jest święto ofiar. Gdy byłem dzieckiem, w latach 70. XX w., śpiewano, że to „święto ze łzami w oczach”. Ono zostało, a łzy wyschły. Tym bardziej że nie ma już prawie weteranów.

Media od lat przytapiają organizatorów parad na tym, że w roli weteranów podstawiają ludzi, którzy podczas wojny byli dziećmi.

Z tego święta zniknął element cierpienia, tragedii, bo zniknęło pokolenie świadków. Mam 54 lata, dla mojej generacji kwestia ofiar była szalenie istotna. Pamięci o wojnie towarzyszyły produkcje filmowe, jak „Lecą żurawie”, „Ojciec żołnierza”, „Dworzec Białoruski”. Za to ci, którzy urodzili się po roku 1980, chowali się już w innych filmach, na megaprodukcjach spod znaku Siergieja Mi-

■ Kreml nie może powiedzieć, że kolejnemu pokoleniu będzie się żyło lepiej. Co więc zostaje? Przeszłość.

chałkowa, gdzie Rosjanin z gołą piersią i karabinem w ręku wszystkich pokonuje. Taki „ruski Rambo”. To pokolenie ze zdeformowaną pamięcią o wojnie. Dla nich, a także dla ludzi jeszcze młodszych, *Pobieda* to coś super. Z tego biorą się ci „patriotyczni” motocykliści czy kibice. Wie pan, co oni krzyczą?

Co takiego?

O ile w Niemczech pamięć opiera się na dogmacie „To nie może się powtórzyć”, o tyle w Rosji popularne jest hasło „Możemy to powtórzyć”. Widać je np. na samochodach, obok naklejki z sierpem i młotem, które stylizowane są na postać mężczyzny gwałcącego swastykę. W Rosji ideę śmierci dziesiątków milionów ludzi uważa się dziś za słuszną, bo umożliwiła triumf Związku Sowieckiego i zajęcie przezeń kluczowego miejsca w XX-wiecznej historii. Towarzyszy temu poczucie, że świat nie szanuje Rosjan: „Nie szanujecie nas? To wam przypomniemy, ile nam zawdzięczacie!”. To reakcja słabego, który powołuje się na swoją wielką przeszłość.

W książce twierdzi Pan, że zwycięstwo nad Niemcami jest wykorzystywane do usprawiedliwienia rosyjskiej agresji na Ukrainę. W jakim sensie?

Wojnę z Ukrainą kreowano na wojnę z faszystami, Ukraińców przedstawiano jako banderowców, esesmanów. Rosyjskiemu telewidzowi tłumaczono, że dobrzy ludzie z Donbasu walczą z ukraińskimi faszystami. Kreowano Donbas na symbol rosyjskiego ruchu wyzwolenczego, a Kijów na symbol zła. Daje się do zrozumienia, że „rosyjscy partyzanci” jadą do Donbasu, aby robić tam to, co na niemieckich tyłach po roku 1941 robili ich dziadkowie. Odtwarzano historyczne wydarzenia, np. przemarsz ukraińskich jeńców po Doniecku inscenizowano na wzór „marszu hańby” niemieckich jeń-

ców po ulicach Moskwy. Za jeńcami jechały maszyny czyszczące, by po ich stopach nie został ślad. W czasie bitwy o Debaltsewe [węzeł kolejowy w Donbasie; w 2015 r. zdobyły go regularne wojska rosyjskie – red.] mówiono Rosjanom: patrzcie, podczas wielkiej wojny ojczyźnianej rozbiliśmy w tym miejscu faszystów i teraz znów ich tam pokonamy! Igor Girkin, rosyjski „minister obrony” w Doniecku, skazywał ludzi na śmierć na podstawie rozkazu o rozstrzelaniu maruderów, który Stalin wydał w 1941 r. Przykłady można mnożyć.

Pamiętam poruszenie, jakie w Moskwie wywołały kilka lat temu słowa Grzegorza Schetyny, że obóz Auschwitz wyzwalali nie Rosjanie, lecz Ukraińcy. Czy Moskwa jest w stanie uznać, że Ukraińcy i Białorusini też mają prawo do tytułu zwycięzców tamtej wojny?

Nie jestem przekonany do logiki Schetyny. Ci żołnierze walczyli jako „ludzie sowieccy”, za sowiecką ojczyznę. Mało kto myślał o obronie ziemi ukraińskiej czy białoruskiej. Dla nas takie ujęcie tej sprawy jest po prostu śmieszne. Nie przypominam sobie natomiast, żeby Kreml w swoich oświadczeniach odbierał Białorusinom czy Ukraińcom prawo do dziedzictwa zwycięstwa nad Hitlerem. W Białorusi Dzień Pobiedy obchodzi się zresztą szumniej niż w Rosji.

Bagatelizujący epidemię COVID-19 Alaksandr Łukaszenka powiedział niedawno, że on sam jest nosicielem dobrego wirusa: wielkiej wojny ojczyźnianej.

Kreml chętniej mówi o zwycięstwie całego narodu sowieckiego. To okazja, by podkreślić, że istnieje wspólne dziedzictwo, że Ukraińcy i Rosjanie to bratnie narody.

Socjolog Lew Gudkow mówi w Radiu Swoboda, że po tym, jak znikły wszystkie sowieckie symbole, od kosmosu po wiarę w świetlaną przyszłość, Pobieda pozostaje jedynym powodem, by odczuwać do siebie szacunek. Pamięć o 9 maja to najwyższy dziś symbol Związku Sowieckiego?

Pobieda dla Rosjan nie jest symbolem Związku Sowieckiego. Ona jest czymś więcej niż Związek Sowiecki, więcej niż

nostalgia po nim. To fundament rosyjskiej państwowości, to uratowanie Rosji, które dokonało się z pomocą Boga czy Stalina, to zjawisko o znaczeniu globalnym, wręcz kosmicznym, porównywalne ze zmartwychwstaniem Chrystusa. *Pobieda* rekompensuje szereg deficytów: od deficytu kodów czy wspomnień, które tworzą z nas naród, aż po deficyt potęgi narodowej.

Rosja wydaje się być krajem z trudną do przewidzenia przeszłością.

Według badań Centrum Lewady 70 proc. Rosjan deklaruje pozytywny stosunek do Stalina. W 2008 r., gdy ceny ropy szły w górę, a historii w rosyjskiej debacie pojawiało się mniej, było to 39 proc. Istnieje związek między pompowaniem pamięci o 9 maja a szacunkiem do Stalina?

Taki związek istnieje, ale dobra pamięć o Stalinie umocniłaby się i bez tego. Stalin to figura silnego lidera, obrońcy „rosyjskiej ziemi”. Rozmawiałem o tym niedawno z Lwem Gudkowem: paradoks polega na tym, że poparcie dla Stalina to częściowo wyraz nastrojów protestu. Ludzie „głoszą” za Stalinem przeciwko Putinowi.

Jak to?

Widzą złodziejstwo obecnych władz, widzą rozpad państwa i mówią, że przy Stalinie było inaczej, że wtedy był porządek. Popularne hasło brzmi: „Przy Stalinie tego nie było!”. Gdy byłem dzieckiem, za Breżniewa, połowa kierowców ciężarówek i taksówkarzy wozila w autach portrety Stalina, bo „popierali porządek”. Stalin to uniwersalna odpowiedź Rosjanina na chaos świata. To nie jest takie proste, że Putin chce czcić Stalina, aby móc nosić taki biały mundur jak on [chodzi o biały, galowy mundur generalissimusa, który nosił Stalin, mający taki stopień – red.]. Może i chciałby go nosić, ale tu chodzi o coś więcej. Rosyjska świadomość wciąż szuka punktów, na których może się oprzeć: *Pobieda*, Stalin, rosyjska broń, Gagarin, sowiecki hokej.

Pisał Pan: „Dzień Zwycięstwa to w naszym współczesnym kalendarzu jedyne niewywołujące sporów święto”, w odróżnieniu od Dnia Jedności Narodowej 4 listopada, bo nie wymyślone sztucznie, lecz „wywołane przez naród, okupione krwią i cierpieniem”.

To święto i jednoczy, i dzieli. Dzieli przede wszystkim sposób świętowania tego dnia. Dzielią wstążki georgijewskie...

...w Polsce, na Ukrainie czy w krajach bałtyckich utożsamiane z rosyjskim imperializmem.

Ja ich nie noszę. Wstążki stały się symbolem całego wariactwa wokół *Pobiedy*. Patrząc, czy ktoś ją ma, i dzięki temu widzę, czy jest „swój” czy „obcy”. Widzę związek między jej założeniem a poglądami: taka osoba w moich oczach popiera przyłączenie Krymu.

Kiedyś ją Pan nosił.

Kilkanaście lat temu. Na początku mi się to podobało. Taka narodowa inicjatywa, coś jak brytyjskie maki [nosi się je 11 listopada na pamiątkę poległych w I wojnie światowej – red.]. Problem w tym, że tę i inne inicjatywy – jak tomski pomysł Nieśmiertelnego Pułku [idea dziennikarzy z Tomka, by 9 maja Rosjanie nieśli zdjęcia poległych na II wojnie przodków – red.] – przejmują władze. A czego one się dotkną, to odwrotnie niż u mitycznego króla Midasa: złoto obraca się w gówno. Nieśmiertelny Pułk zamienił się w obowiązkowy przemarsz, podczas którego studenci czy pracownicy zakładów noszą portrety obcych ludzi, a po wszystkim wyrzucają je do śmietnika.

Powiedział Pan kiedyś: „Straciłem Zwycięstwo. Przepadło poczucie jedności z państwem, które zawsze odczuwałem w te majowe dni. Czuję, że istnieje jakiś wielki kraj, jakaś wielka historia”. W jakim sensie stracił Pan ten dzień?

9 maja nie jest wyłącznie upiornym państwowym obrzędem. To nie tak. 9 maja to pamięć ludzi. Sam wywieszam zdjęcie mojego dziadka, który walczył w tej wojnie. Rozumiem, że dla innych państw to był zaborczy pochód Armii Czerwonej, ale dla mojego narodu to wyzwolający początek. Mój naród uwolnił się nie tylko od nazizmu, uwolnił się też na chwilę od stalinizmu. Śmierć była dookoła, ale było też fantastyczne poczucie wolności. Stalin bał się ludzi, którzy wrócili z wojny.

Przywołuje Pan liczby: 8 mln weteranów frontowych, 5 mln robotników przymusowych i blisko 70 mln cywilnych mieszkańców terenów, przez

które przetoczyła się niemiecka okupacja.

Nie świętowano Dnia Zwycięstwa za Stalina, wtedy 9 maja prędko stał się zwykłym dniem roboczym. Nie zdecydował się na to także Nikita Chruszczow, bo bał się marszałka Gieorgija Żukowa [szefa Sztabu Generalnego podczas II wojny – red.]. Stalin i Chruszczow bali się weteranów, bo oni widzieli śmierć i byli nieustraszeni. Obchody zainaugurował dopiero kolejny pierwszy sekretarz, Leonid Breżniew.

Zal mi, że to ważne święto nie stało się dniem wyzwolenia od tyranii, a zamiast tego zostało tak cynicznie użyte przez władze do usprawiedliwienia jej działań. Naszym problemem w Rosji jest to, że państwo wszystko musi opanować: od centrów handlowych przez kompanie naftowe i edukację po pamięć. Władze wykorzystują pamięć o 9 maja. Legitymizacja reżimu Putina nie leży w przyszłości. Kreml nie może powiedzieć, że kolejnemu pokoleniu będzie się żyło lepiej. Przeciwnie: i władza, i ludzie rozumieją, że będzie gorzej. Co więc zostaje? Przeszłość. Dzień Zwycięstwa ma pokazać, że pokonamy każdego wroga.

Putin zdenerwował się, że przez epidemię nie będzie mógł zorganizować parady z okazji 75. rocznicy Pobiedy?

Oj tak. 9 maja miał być głównym wydarzeniem tego roku. Nieprzypadkowo referendum w sprawie poprawek do konstytucji [umożliwiających Putinowi rządy do 2036 r. – red.] zaplanowano tuż przed Dniem Zwycięstwa. Wszystko miało ułożyć się w jedno: zwycięski kraj pod przywództwem zwycięskiego lidera. Wie pan: „*Ein Volk, ein Reich, ein Führer*”. I nagle ten plan wziął w łeb.

© Rozmawiał ZBIGNIEW ROKITA



SIERGIEJ MIEDWIEDIEW

(ur. 1966) jest rosyjskim historykiem, dziennikarzem i profesorem nauk

politycznych. Jako wykładowca i badacz pracował także w Niemczech, Finlandii i Włoszech. Autor książek, prowadził programy w rosyjskich kanałach TV Kultura i Dożd, obecnie ma swój autorski program „Archeologia” w Radiu Wolna Europa / Radiu Swoboda. Niedawno nakładem Wydawnictwa Czarne ukazała się jego książka „Powrót rosyjskiego Lewiatana”.